

Dorota Sumińska

**„Życ z..., żyć dla...”
Rozmowa z Alicją Kapuścińską o jej życiu
z mężem podróżnikiem**

Wywiad dotyczy znanego podróżnika, dziennikarza, korespondenta zagranicznego i pisarza. Rozmawiałam o tym niezwykłym człowieku z jego żoną Alicją. Nasza rozmowa odbyła się w niedługim czasie przed drugą rocznicą jego śmierci. Spotkanie dotyczyło głównie postaci Ryszarda Kapuścińskiego, jednak bardzo zależało mi również na przekazaniu wrażeń, przeżyć i doświadczeń żony, która kilkakrotnie wyjeżdżała z mężem w daleką podróż, opisów wspólnego życia, które nieustannie było przeplatane długimi okresami rozłąki. Postać tej zwykłej i zarazem niezwykłej kobiety odegrała ogromną rolę w podróżach męża. Niemożliwe byłoby mówienie o jego osiągnięciach bez wspomnienia jej zasług. Dlatego ta rozmowa jest w pewnym sensie opowieścią o życiu mężczyzny, który dzięki miłości kobiety swojego życia podbił świat.

Znamy Pana Ryszarda Kapuścińskiego jako niezwykłego pisarza, dziennikarza i podróżnika, wiemy, że zwiedził niemal cały świat, nie wiemy jednak, co stanowiło główną motywację do odbywania podróży i skąd brała się chęć nieustannego poznawania świata?

Alicja Kapuścińska: Przede wszystkim nigdy nie były to podróże w celach turystycznych czy poznawczych (w sensie tylko zobaczenia czegoś ciekawego), ponieważ to była jego praca zawodowa. Na początku swojej pracy dziennikarskiej mąż nie przewidywał, że będzie korespondentem zagranicznym, że będzie jeździł na wszystkie kontynenty. Chociażby z tego powodu, że to były lata pięćdziesiąte, kiedy wszelkie wyjazdy były ogromnie utrudnione i ograniczane. I nawet kiedy już zaczął pracować w „Sztandarze Młodych”, to wyjeżdżał w tak zwany „teren”, czyli po Polsce. Już wtedy jakoś te jego wyjazdy pokazały to, że bardzo obserwuje, z ogromną ciekawością, z zainteresowaniem, jak żyją ludzie, co się z nimi dzieje, jacy oni są. Ta jego ciekawość świata i ludzi już potem była motorem dalszych jego wyjazdów. W pierwszych jego reportażach, które są zawarte w *Buszu po polsku*, znajdujemy charakterystykę ludzi, których widział krótko, ale coś w nich zwróciło jego uwagę. Wydaje się, że bardzo to były trafne i przemyślane spostrzeżenia.

Jak doszło do pierwszego zagranicznego wyjazdu?

Alicja Kapuścińska: Ważne było już samo to, że się udało mu wyjechać za granicę, a szczególnie, że pierwsza podróż będzie na Daleki Wschód. W *Podróżach z Herodotem* pisał, że jego jedynym marzeniem było przekraczanie granicy, zobaczenie, jak jest za granicą, czym się od nas różnią sąsiedzi. Nie zależało mu na tym, żeby zwiedzić cały świat, żeby zobaczyć, jakie są piękne budowle czy jakie warunki życia. Przeczytałam małą recenzję o *Podróżach z Herodotem* w jakimś czasopiśmie ilustrowanym, w której młoda autorka napisała, że Ryszard Kapuściński z młodzieńczą beztroską, nie znając angielskiego, pojechał do Indii. Autorka ta nie wiedziała nic o tamtych latach.

Jak wyglądały wyjazdy Pana Kapuścińskiego od strony organizacyjnej, jak podróżował i kto mu towarzyszył?

Alicja Kapuścińska: To nie od niego zależało. To były podróże służbowe, na które bardzo skrupulatnie były wyliczane pieniądze, diety oraz środki, które miały służyć na opłacenie depesz, bo przeważnie to były wyjazdy Polskiej Agencji Prasowej. Tam nawet mowy nie było o tym, żeby on sobie mógł dobierać towarzysza podróży, bo rozrzutność PAP-u nie była taka, żeby wysyłać dwóch ludzi w jedno miejsce. To była bardzo ograniczona finansowo instytucja i jeśli miał wysłać depeszę, to najpierw bardzo starannie ją redagował, tak żeby powiedzieć maksimum tego, co ma do przekazania, w najmniejszej liczbie słów. Bo każde słowo kosztowało jeden dolar. Jeżeli tam poznawał innego dziennikarza, to przemierzali drogę razem. Były takie osoby, z którymi potem wiązała go przyjaźń. Jednym z nich był Dušan Provaznik, który potem tłumaczył na czeski jego książki. Razem znaleźli się w Kongo i tam im obu groziła śmierć.

Pani udało się kiedyś towarzyszyć mężowi w jakiejś podróży?

Alicja Kapuścińska: Zostałam wysłana przez PAP jako opiekunka chorego, ponieważ mąż, znajdując się w Afryce Wschodniej, w Tanganice, najpierw w Ugandzie, zachorował na mózgową postać malarii i ta choroba go tak bardzo osłabiła, że w jej wyniku, w okresie rekonwalescencji, okazało się, że ma chore płuca (odezwała się jakaś wojenna, stara gruźlica). Proszę pamiętać, że jesteśmy/byliśmy pokoleniem wojennym i gruźlica była bardzo powszechną chorobą. Każda osoba, która miała robione zdjęcie płuc, to zawsze się tam znajdował tak zwany zespół pierwotny, czyli pewne zwapnienia tkanki płucnej, mówiące o tym, że kiedyś tam się dostały prątki gruźlicy. Wtedy, kiedy dochodziło do jakiegoś załamania organizmu, mogły te prątki jakoś ożyć. W pewnym momencie on zaczął kasłać krwią, okazało się, że ma czynną gruźlicę. Miał dylemat, bo właściwie powinien wrócić do kraju, ale przestraszył się tego, że skoro dopiero co wyszedł z malarii, a teraz zachorował na gruźlicę, to spotka go uwaga szefów typu: „no widzisz, stale chorujesz, ty tego klimatu nie znosisz i wobec tego nie będziesz jeździł do tropików”. Wobec tego postanowił się leczyć na miejscu. Leczenie na miejscu mogło być dwojakie: albo w szpitalu czy przychodni dla

białych (bo to jeszcze był okres kolonialny), co by kosztowało bardzo dużo, albo w przychodni afrykańskiej. W tej przychodni pracowało dwóch tanganijskich sanitariuszy, on tam codziennie przychodził, bo miał zlecony zastrzyk. Wobec tego oni wyjmowali wygotowaną strzykawkę z jakiegoś rondelka, w którym się równocześnie gotowały jajka i tak właśnie wysterylizowaną strzykawką robili mu zastrzyk, co dla nas teraz jest w ogóle nie do pomyślenia. Niemniej to leczenie okazało się skuteczne. Kiedy do PAP-u dotarła informacja, że on właśnie jest chory przewlekle i że postanawia się leczyć na miejscu, wtedy postanowiono wysłać żonę, zwłaszcza, że ja jestem pediatrą. Gdy pojechałam, on już był w okresie poprawy, byliśmy razem w Kenii, najpierw w Tanganice, a potem w Kenii, przez rok. Był już w dobrej formie, potem jeszcze leki brał.

Z tego, co wiem, Pan Kapuściński nie miał zbyt wiele czasu na spokojny powrót do zdrowia...

Alicja Kapuścińska: Był już na tyle w dobrej formie, że stamtąd pojechał na Zanzibar, bo akurat tam się rozpętała rewolucja. Kiedy już wrócił na kontynent, bo byliśmy już w Kenii, wysłał depeszę do PAP-u, po czym dowiedział się od PAP-owców, że jest to jedyna na ten temat depesza, że nie ma żadnej korespondencji od innych dziennikarzy. Nie wiadomo było, jak się do tej rewolucji ustosunkowuje Związek Radziecki. Nie wiadomo, czy pisać zgodnie z tym, co on obserwował. Wobec tego on odszukał korespondenta TASS-a, który wtedy też był w Kenii, w Nairobi, ale nie pojechał na Zanzibar – albo się nie zorientował, albo nie dostał się – opowiedział mu wszystko, co było na Zanzibarze. To były takie czasy, to był koniec lat sześćdziesiątych. Tamten wysłał depeszę do TASS-a, TASS to opublikował i wtedy można było nadać depeszę Kapuścińskiego. Tego rodzaju ograniczenia istniały, że Polska Agencja Prasowa, czołowa instytucja medialna w Polsce, nie była pewna, czy pewne wydarzenia gdzieś tam mające miejsce na Czarnym Łądzie są oceniane pozytywnie przez Rosjan czy negatywnie. Wtedy jego choroby go nie zniechęciły, bo miał już bakcyła poznawania świata, bardzo dobrze się to łączyło z jego pracą zawodową.

Wróćmy jeszcze do Pani wyjazdu do Afryki, czy była to pierwsza podróż zagraniczna?

Alicja Kapuścińska: Nie, przedtem byłam w Słowacji czy w Czechach. Na każdy wyjazd trzeba było się odrębnie starać o paszport, który po powrocie się zwracało i nawet jeżeli chciało się za miesiąc jechać znowu gdzieś, to znowu trzeba się było starać ponownie. Myśmy bardzo skromnie żyli. Ja dopiero byłam na etapie kończenia studiów, na stażu lekarskim, pracowałam za niewielkie pieniądze. Mąż też miał niedużą pensyjkę, gdy był dziennikarzem krajowym. Od początku wyznawał zasadę, że nie to, ile się pisze, tylko jak się pisze, jest ważne. Miał tak zwaną wierszówkę do wykonania, pewną liczbę jakichś materiałów, wierszy czy znaków, jak to się teraz mówi, które musiał wypełnić.

Pisać za dodatkowe pieniądze nawet nie próbował, bo musiałyby to być w pośpiechu pisane, a on po prostu chciał pisać dobrze i ta idea mu przyświecała całe życie. Nawet jak wykładał na dziennikarstwie, miał swoich młodszych naśladowców, to zawsze tę zasadę wpajał wszystkim: że żaden pośpiech się nie liczy, żadna ilość na potęgę. Trzeba być odpowiedzialnym za to, co się pisze i jak się pisze. Jak duży jest tekst, to zależy od tematu czy od możliwości. Siłą rzeczy, tych pieniędzy nie było tak dużo, więc wtedy, kiedy on wyjeżdżał za granicę i tam żył z diet, które dostawał, to ja spłacałam tutaj długi z jego pensji podstawowej. Tak że to były bardzo skąpe dochody, więc na to, żeby wyjeżdżać za granicę, to również nas nie było za bardzo stać. On przed tą swoją pierwszą delegacją, jaką dostał ze „Sztandaru Młodych” w 1956 r., przedtem był tylko raz – w Berlinie.

Jak Pani odebrała wiadomość o podróży do Afryki i co było w niej dla Pani najważniejsze?

Alicja Kapuścińska: Najpierw informacja o tym, że mi proponują wyjazd, była dla mnie szokiem. Trochę z jego opowieści wiedziałam o tym, co się tam dzieje, aczkolwiek on był skąpy w opowiadaniu, ponieważ uważał, że jeżeli wszystko z siebie już wyrzuci, wszystkie wrażenia, to potem już nie będzie ich miał do napisania. Wobec tego wołał to jeszcze sobie gromadzić, jakoś wzbogacać jeszcze lekturami, przemyśleniami, żeby móc potem o tym napisać. Dopiero z książek wielu rzeczy dowiedziałam się później. Wobec tego nie bardzo wiedziałam, dokąd jadę, wiedziałam tylko, że tam, w tej Tanganice, on już ma taką bazę, którą była polska ambasada. Tak, że będę miała jakieś otoczenie, z którym się porozumiem, dogadam, ponieważ też nie znałam języka. Dopiero tam się uczyłam angielskiego. Natomiast tu musiałam wiele rzeczy zorganizować, zlikwidować, musiałam umieścić dziesięcioletnią córkę w Szczecinie u mojej rodziny, żeby tam do szkoły przez jakiś czas chodziła, tak przewidywałam, że rok szkolny musi mieć tam już zarezerwowany. Musiałam dostać urlop bezpłatny w moim miejscu pracy, bo dopiero zaczęłam świeżo pracę tuż po dyplomie. Więc, jednym słowem, było to dla mnie bardzo absorbujące i nie bardzo sobie wyobrażałam, jak tam będzie. Na szczęście on już nie był taki bardzo chory, w tej ambasadzie byli właśnie ludzie z naszego pokolenia, bardzo życzliwi i zaprzyjaźnieni, więc to ułatwiało wejście. Ale wszystko było niezwykle nowe, dziwne, tajemnicze i egzotyczne. Kiedy Ryszard był na tyle zdrowy, że mógł normalnie podjąć pracę, że mógł pojechać do jakiegoś sąsiedniego nawet kraju, już wyjeżdżał, a mną się tam opiekowali Polacy. Oni chętnie mnie zabierali do jakichś innych miejsc, które uważali, że obowiązkowo trzeba zobaczyć, jak się już jest w tej części kraju. Oczywiście, trzeba było zobaczyć, co to znaczy safari i co to znaczy Serengeti, czyli ten wielki teren zamieszkały przez zwierzęta, gdzie były właśnie te stada lwów, zebra i słoni. Jechało się tam po takim zbozczu samochodem terenowym, zwiedziłam ten teren, szczególnie Kenię. W każdym

razie zobaczyłam, co to znaczy pejzaż afrykański, jak wyglądają tam plemiona typu Masaje. Miałam dużo turystycznych wrażeń, bo o męża już się nie martwiłam, wiedziałam, że on jest na dobrej drodze do zdrowia. Nie musiałam tam swojej działalności zawodowej rozwijać, opiekując się nim. To było coś niesłychanego. Urodziłam się na wsi, bo moi rodzice byli nauczycielami wiejskimi w jednoklasówce, potem wojnę też spędziłam w takiej małej wiosce na Lubelszczyźnie, gdzie Niemcy w ogóle raz czy dwa podczas wojny zajechali, bo inaczej im grzęzły koła w takim piachu, że w ogóle nie byli w stanie się tam wybrać. Wyrosłam z takiej prowincji polskiej. Ta egzotyka – nie przypuszczałam, że mi się coś takiego zdarzy. Tak samo jak wtedy, gdyśmy się pobierali i rozpoczynaliśmy swoją działalność zawodową, a Rysiek mówił, że będzie dziennikarzem. W szkole średniej wiersze pisał i je wydrukowano. W „Sztandarze Młodych” zaproponowano mu współpracę. Po studiach już miał zarezerwowane miejsce pracy w tymże „Sztandarze Młodych”. Natomiast nie planował, że będzie dziennikarzem, który zwiedzi cały świat i że będzie o tym świecie pisał i że będzie wręcz autorytetem w zakresie wiedzy o świecie. To dopiero się zaczęło dziać stopniowo.

Co zmieniła podróż w Pani codziennym życiu?

Alicja Kapuścińska: Trudno mi powiedzieć, żeby to coś zmieniło. Ja wiedziałam, do czego wracam. Na szczęście, dostałam pierwszy etat i to był mój etat przez 35 lat w Klinice Dziecięcej na Działdowskiej. Kochałam to miejsce i kochałam swoją pracę, szłam tam po prostu jak do drugiego domu i nigdy nie żałowałam, że ten kierunek wybrałam. A mój mąż wyjechał wkrótce do innej części Afryki, ponieważ potrzebny był doświadczony korespondent PAP. W momencie, kiedy myśmy byli w Kenii, przyjechał książę Filip z Anglii i była wielka uroczystość. Przenieśliśmy się z Tanganiki do Kenii i już zostaliśmy, bo właśnie oni odzyskiwali niepodległość. Potem kolejne kraje też uzyskiwały i wobec tego Ryszard jeździł tam, gdzie PAP mu wskazał. Więc on długo miejsca nie zagrażał w Warszawie, wtedy jak wróciliśmy, bo po paru miesiącach znów pojechał, czyli praktycznie poza tym, że zobaczyłam kawałek świata, zobaczyłam też, jak ci ludzie żyją, trochę się już poduczyłam angielskiego, wróciłam do swojej roli lekarki i matki. Więc nic się w zasadzie gruntownie w moim życiu nie zmieniło. No więc nie wiem, nie czułam się wyróżniona, była to wyjątkowa sytuacja życiowa, mnie się akurat udało pojechać, ale wiedziałam, że potem wracam do swojego miejsca i będę dalej tutaj żyć i pracować.

Czy w pracy zawodowej coś uległo zmianie?

Alicja Kapuścińska: Mogłam porównać na przykład nasze warunki, w jakich żyją moi pacjenci, w jaki sposób my jesteśmy w stanie ich leczyć, z tym, co widziałam na przykład w afrykańskim oddziale dla noworodków. Na przykład my tutaj dbamy o sterylność wszystkiego, trzeba się przebrać, gdy się wchodziło do sali wcześniaka, a tam w ogóle do głowy nikomu nie przyszło maskę zakła-

dać. Po prostu myślę, że dlatego, że ci światli wiedzieli, że i tak te dzieci wrócą do tego środowiska absolutnie niesterylne. Chciałam wiedzieć porównawczo, jak wygląda życie, choroby i leczenie w innych miejscach świata, a jak to wygląda u nas. Byłam w stanie docenić to, gdzie mi przyszło pracować. Bo to rzeczywiście była wyraźna różnica.

Celem pierwszej Pani dalekiej wyprawy była Afryka, czy później odbywały się jeszcze kolejne?

Alicja Kapuścińska: Byłam potem jeszcze raz z mężem dłużej za granicą, ponieważ na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych on został wysłany jako stały korespondent PAP-u do Ameryki Łacińskiej. Najpierw jeszcze zanim objął tę placówkę, jeździł po innych krajach (Chile, Brazylia), tam się dopiero w Peru uczył hiszpańskiego. Do Meksyku dotarł po kilku miesiącach czy po roku, już się posługiwał hiszpańskim, no a ponieważ wiadomo było, że ma tam na trzy lata stały pobyt, wobec tego znowu nam zaproponowano wyjazd. Obie z córką pojechałyśmy do Meksyku, to był właśnie sześćdziesiąty dziewiąty rok. Znowu inni ludzie, inne krajobrazy, inne życie ogromnie ciekawe, no i rzeczywiście inny język. Ja się z kolei tam z córką nauczyłam hiszpańskiego. Staralam się zobaczyć, jak wyglądają tam przychodnie, szpitale, już się troszkę umiałam porozumieć. Brałam udział w badaniach, konferencjach, spotkaniach. Żeby tak się zupełnie już od tej medycyny nie oderwać, ale stałego zatrudnienia nie planowałam i nawet nie byłoby to możliwe, żeby dostać. Trochę po tym Meksyku pojeździliśmy, mąż potem stamtąd pojechał do Hondurasu na „wojnę futbolową”. Pamiętam jak zadzwonił do mnie, że mu się skończyły pieniądze, że na taki a taki bank mam mu jakoś spróbować przekazać pieniądze. Poszłam do dyrektora banku i byłam dumna, że już na tyle znam hiszpański, że mogę z nim rozmawiać, uzgodniłam z nim to, po czym się okazało, że ten bank, który on nam wskazał, w międzyczasie został tam spalony czy zniszczony, że trzeba szukać innego i jeszcze zdążyć mu dać znać, znaleźć go. Ale w każdym razie wszystko się udało. Mąż trochę tam też jeździł po tych okolicznych krajach Ameryki Środkowej. Było dużo takich ciekawych wydarzeń. Nigdy jednak nie towarzyszyłam mężowi, gdy on jechał w jakieś miejsce, gdzie się toczyła wojna, czy gdzie było niebezpiecznie. A on przecież podróży turystycznych czy przyjemnościowych nie odbywał. Wiele jeździł później w te niebezpieczne tereny, dlatego że już właśnie zaczął być znany, więc jeździł na spotkania i konferencje. Wielokrotnie w Ameryce Północnej na przykład bywał czy w krajach Europy. A ja tutaj cały czas chodziłam do mojego szpitala. Nie byłam osobą taką wolną w czasie.

Czy po odbytych podróżach odczuwała Pani chęć lub potrzebę zobaczenia jeszcze innych części świata?

Alicja Kapuścińska: Muszę powiedzieć, że jechałam ponownie w te same miejsca, byłam jeszcze raz krótko w Meksyku, dzięki temu że poprzedni

ambasador, który był w Meksyku, pan Ryszard Majchrzak, potem był ambasadorem na Kubie. Oni mnie zaprosili na Kubę. Odpowiedziałam: Pojadę, jeśli istnieje tam możliwość wyjazdu do Meksyku. Okazało się, że istnieje. Bilety sobie załatwiłam i z tej Kuby, gdzie przebywałam chyba dwa tygodnie, pojechałam do Meksyku, tam u znajomych się zatrzymałam. Byłam w Meksyku tydzień czy dwa. Natomiast, żeby jeździć gdzieś w inne strony tego egzotycznego świata, to nigdy o tym jakoś nie myślałam. Później rzeczywiście już troszkę jeździłam, ale to już inaczej. Byłam w Stanach, byłam w Kanadzie (bo tu mąż ma siostrę, jest tam też nasza córka). Przejeżdżałam parokrotnie z Meksyku przez Amerykę. Zatrzymywałam się u znajomych w Nowym Jorku, byłam w Waszyngtonie. W Europie mieliśmy przyjaciół, którzy pracowali w różnych krajach, było do kogo pojechać i przy okazji można było odwiedzić jeszcze inny zakątek. Kiedy wracaliśmy z Afryki, to wcześniej mąż zamówił volkswagena garbusa w fabryce w Niemczech, więc dolecieliśmy tam samolotem, a stamtąd wzięliśmy ten samochód i już przez całą Europę nim wracaliśmy. To były Niemcy, Francja, Włochy, Lazurowe Wybrzeże, Mediolan, Rzym, Wiedeń. Cały miesiąc jechaliśmy wtedy przez te kraje.

W jaki sposób mąż traktował możliwości odbywania takich dalekich i długotrwałych podróży?

Alicja Kapuścińska: Ryszard nigdy nie obnosił się z tym, że wie lepiej, czy wie wszystko. Poza wszystkim on był człowiekiem tak skromnym, że jeżeli tylko spotykały go jakieś wyróżnienia, nagrody, pochwały, to on cały czas jak gdyby nie wierzył, że na to zasłużył. Pracę traktował jako rzecz normalną, należącą do jego obowiązków, ale to już jest taki charakter. Wszystko starał się robić jak najlepiej. Natomiast rzeczywiście, w pewnym momencie zaczął być doceniany i uznawany. Nie jeździłam z nim, żeby nie czuł, że jeszcze się musi żoną zająć. Byłam na dwóch jego pierwszych doktoratach, w Katowicach i we Wrocławiu. Ale gdy dostawał Nagrodę Księcia Asturii w Hiszpanii i wiedziałam, że tam będzie cała rodzina królewska, nie pojechałam, żeby jego nie rozpraszać, nie absorbować, nie zakłócać mu normalnego, swobodnego sposobu zachowania. Więc w związku z tym też mnie nie nakłaniał. Powiedziałam sobie, że dla niego to jest tak silne przeżycie, że już lepiej niech on tam nie będzie dodatkowo obciążony.

Co było podstawą przygotowania się Pana Kapuścińskiego do odwiedzania poszczególnych krajów i późniejszego pisania o nich?

Alicja Kapuścińska: Los rzucił go od razu w tak odległe kraje, bez dobrej znajomości języka i tak zupełnie nieprzygotowanego na to, bo właściwie niewiele wiedział o tej części świata, nie zdążył się zresztą jeszcze przygotować. Nie było zresztą dostępu do takich lektur, bo później przyjeżdżał zawsze z walizkami książek, wychodził do miasta – wracał z książkami i namiętnie czytał dziesiątki tomów i dobierał sobie lekturę pod tym kątem, gdzie jedzie albo skąd

wrócił. Wobec tego, zarówno przed wyjazdem, jak i po powrocie, zawsze rozczytywał się dosłownie w dziesiątkach tomów na dany temat. Ale do pierwszego wyjazdu był całkowicie nieprzygotowany. Mąż studiował historię, a nie na przykład geografię czy politologię, ale akurat historii Indii nie studiował czy historii Chin. Jeżeli, to już Europę klasyczną, historię starożytną. Dlatego on tego wszystkiego się tam douczał, a douczał się dlatego, że jak już pojechał, znalazł się w jakimś miejscu, to interesował się tamtejszymi ludźmi, ich sposobem życia, jak ich historia ukształtowała. Musiał się w tym orientować, a żeby się orientować, to musiał czytać. Ponieważ tam na miejscu na ogół nie było bibliotek, w takich krajach jak Kongo czy Nigeria, wobec tego dopiero po powrocie mógł tutaj szukać lektury na ten temat. Ale to, co go zawsze interesowało, co go zawsze charakteryzowało, to, że nie patrzył oczyma turysty, on patrzył i starał się dociec, jak ten człowiek żyje, kim on jest, dlaczego tak jest, dlaczego taka jest struktura tego społeczeństwa. Tego już się dowiadywał z lektur.

W wielu sytuacjach była Pani podporą dla męża...

Alicja Kapuścińska: Tak się jakoś dobraliśmy, że mieliśmy wspólne spojrzenie na wiele rzeczy. Ja zresztą miałam świadomość, że to jest ciężka praca, przypłacana jego zdrowiem. Jeszcze w latach dziewięćdziesiątych, jak jeszcze pojechał kolejny raz do Indii, znowu zatrzymał się częściowo w ambasadzie, bo tam Krzysztof Mroziewicz był wtedy ambasadorem. Ryszard dostał od niego samochód z kierowcą, żeby móc pojechać do Nepalu. Pojechali gdzieś w góry i on tam dostał ostrej biegunki z gorączką. Wracali po tych górach samochodem, on miał czterdzieści stopni gorączki, na dworze było czterdzieści stopni upału, a przed nimi święte krowy. Krok za krokiem i nie można ich było wyprzedzić. Całą noc jechali, nim dotarli do Delhi. Zawieźli go do szpitala, a jak rano przyszedł lekarz, to powiedział: „Nie sądziłem, że pan dożyje do rana”. Jestem przekonana, że to była cholera. Co prawda, tego rozpoznania nie napisali, tylko że to jakieś *enterocolitis*, ale sądząc po przebiegu i po sposobie leczenia, tak to było. Przeżył dzięki temu, że był jakiś czas przedtem zaszczepiony. Jak przyjechał, to popatrzyłam na niego i powiedziałam: „Co Ciebie tak o połowę mniej nagle?”. Tak go ta choroba wykończyła. Bardzo to było trudne na pewno dla niego, ale nie zrezygnował z kolejnych wyjazdów, bo poznawanie świata nie z punktu widzenia krajoznawczego czy turystycznego, tylko poznawanie ludzi, sytuacji i warunków, w jakich żyją, stało się jego pasją. To, o czym właśnie można potem przeczytać w jego książkach.

Czym był dom dla Pana Ryszarda, czy po tak licznych podróżach miał ich więcej na świecie?

Alicja Kapuścińska: Nie, myślę, że jednak mąż przede wszystkim to miejsce, w którym w danym okresie mieszkaliśmy, uważał za swoje właściwe miejsce na Ziemi. I że miał świadomość, wszędzie gdziekolwiek był, że to jest

sytuacja przejściowa. Nawet napisałam w jednej z książek we wstępie, że zawsze zabierał ze sobą klucze, bo przesądnie w to wierzył, że jak ma klucze i jak mu będzie tęskno, spojrzy i powie: „mam dokąd wrócić”. Przedtem, gdy jeszcze jego rodzice żyli (oboje zmarli w latach siedemdziesiątych), to miejscem, do którego wracał, był ten dom rodzinny. Bardzo był przywiązany, zwłaszcza do matki. Na pewno żadne inne miejsce by mu tego nie zastąpiło. I co do tego nie mam wątpliwości. Oczywiście, te powroty były zawsze takie pełne ulgi i radości, że już znowu jest w swoim miejscu na świecie.

Czy to jedyne miejsce na świecie to zawsze był ten dom na warszawskiej Ochocie?

Alicja Kapuścińska: Niedługo po moim powrocie z Afryki przeprowadzaliśmy się, bo akurat wtedy dostaliśmy spółdzielcze mieszkanie. Dotychczas córeczka spała w pokoju, a w kuchni nasze życie wieczorne się toczyło, polegające również na tym, że Ryszard tam właśnie pisał przy biurku. Na szczęście ta kuchnia miała te sześć czy osiem metrów. Ale także tam wywoływał swoje pierwsze zdjęcia, ponieważ pierwszy raz kupił na bazarze używany aparat, jak jechał do Indii, dopiero się uczył obsługiwać tym aparatem. Były takie czasy, kiedy redakcje nie miały własnych laboratoriów fotograficznych. Pamiętam, że w zlewozmywaku był płyn, jakiś wywoływacz, utrwalacz i że z tego płynu w pewnym momencie zaczęła się uwidaczniać jakaś twarz. Pamiętam, że to była wspaniała scena, twarzyczka takiego chłopczyka murzyńskiego z dużymi oczami. To była radość. Nasze życie się toczyło w tej kuchence. Więc właśnie na przełomie sześćdziesiątego czwartego i sześćdziesiątego piątego roku dostaliśmy możliwość mieszkania spółdzielczego, to już były trzy pokoiki, razem 48 metrów i tam mieszkaliśmy 23 lata. Później dopiero przeprowadziliśmy się do obecnego domu i tu mieszkamy od dwudziestu lat, czyli on mieszkał tu osiemnaście. Chodził prawie codziennie na spacer właśnie Polem Mokotowskim i rano myślał, co będzie tego dnia robił. Zjadał śniadanie i szedł na górę do pracy. Na Polu Mokotowskim zachował się taki domek, w którym Ryszard mieszkał. To jest takie miejsce, do którego, poczynając od czasu wojny, całe życie wracał, bo tam mieszkał. Były to domki fińskie, wybudowane w Polsce po wojnie i jeden z tych domków należał do rodziny Kapuścińskich. W latach siedemdziesiątych te domki rozebrano, mieszkańcom dano mieszkania, a ten teren służył temu, żeby zbudować Bibliotekę Narodową. Ale dwa domki ocalały. Jak się tu sprawadziliśmy w 1988 r. i poszliśmy na spacer, patrzymy – stoi domek, w którym Rysiek mieszkał dziesięć lat po wojnie. Numer jeszcze został ten sam, a jak zajrzałam przez okno, to na środku pokoiku stał stół zrobiony rękami ojca, który był nauczycielem robót ręcznych, a ponieważ nie było mebli po wojnie, to ojciec sam zrobił meble. I ten stół został, a to był taki stuprocentowy sygnał, że to jest ten domek. Teraz ten domek ma być wyremontowany i będzie na trasie tej ścieżki, którą on chodził. Wobec tego ta ścieżka to rzeczywiście jest takie

miejsce, z którego on jako nastolatek wyszedł, a do którego na stare lata wrócił. Gmina Ochota chce uczcić pamięć swojego mieszkańca, wytyczając ścieżkę Ryszarda Kapuścińskiego. Ta ścieżka jest czymś unikalnym, a jednocześnie czymś tak bardzo jemu bliskim, a upamiętniona zostanie jakimiś kamiennymi elementami z napisami. Chciałabym, żeby to był tylko prosty kamień. On właśnie z tych egzotycznych miejsc świata wracał tu, na Pole Mokotowskie, więc trzeba jak gdyby uszanować jego upodobania, proste, niewymyślne. W ten sposób zakreśliłmy jego podróżę po świecie i wróciliśmy tutaj.

Dziękuję serdecznie za rozmowę.

Dorota Sumińska

**“To live with... To live for...”. The conversation with A. Kapuścińska
on the life with her husband – a passionate traveller**

(S u m m a r y)

Mrs Alicja Kapuscinska presents a story of her life that she shared with her husband – traveller. She talks about her day-to-day life and how it was affected by all the journeys he took. She brings up her memories of the first trips her husband went for and the way he was preparing for them, all the successes and worries related to them. In her story she includes all the difficult situations, illnesses and hard decisions that needed to be taken that would affect their whole life. She talks in simple words about all the values that lead her husband in his life. She portrays the process of her husband attaining one goal after another and, first of all, how he has become a wonderful writer and reporter recognised all over the world.